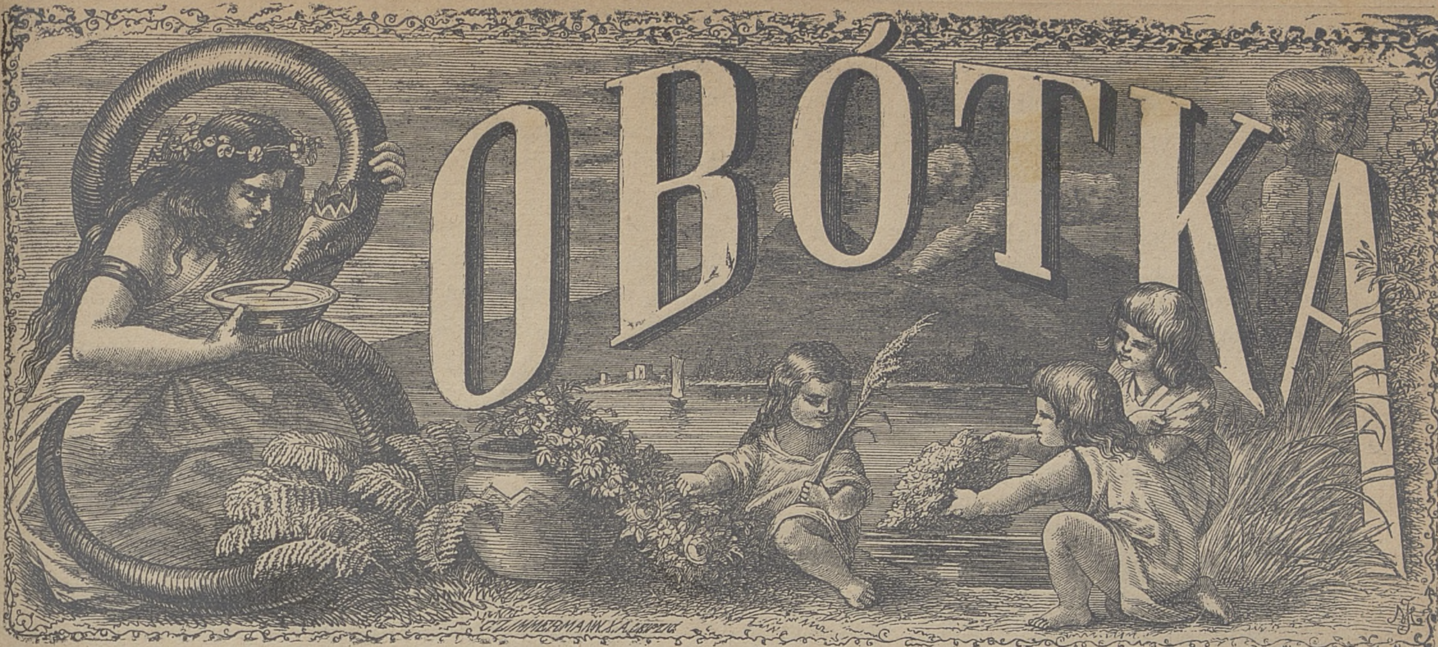


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr

№ 7. Poznań, dnia 13 Lutego 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki**,

(Dalszy ciąg.)

VII.

Duży stół, przybrany kwiatami, zastawiony był ciastami i butelkami opleśniałemi węgrzyna. — Żurowski, przybrany w kontusz granatowy, żupan perłowy, pas srebrzysty i buty pąsowe, przypominał stare wizerunki polonusów. Panienka jego blada po chorobie, z uśmiechem wdzięcznym, spoglądała na dorodną postać swego Macieja, który, chodząc po obszernéj sali, co chwila zbliżał się do jéj fotelu i całował jéj ręce.

Panna Brygida skromnie przybrana miała tylko we włosach małą wiązankę niezapominajek. Tocia i jéj przyjaciółka, aby się kochanéj cioci przypodobać, temiż kwiatkami przystroiły bujne swe warkocze. — Chociaż wszyscy milczeli, radość malowała się na każdego obliczu, jakby anioł szczęścia i spokoju powionął białemi skrzydłami w téj komnacie, dawny smutek wygnał, a zwabił nieznane wesele każdego serca.

Najwcześniejszym gościem pokazał się doktór, którego wszyscy powitali serdecznie. Stakenszmitt cieszył się widocznem polepszeniem zdrowia zacnéj prezesowéj, zbadał jéj puls, popatrzył w oblicze i mówił z uśmiechem:

— Teraz wracamy do zdrowia powoli: już i rumieńczyk wybija pięknie, niedługo będziemy czerstwi jak dawniéj — bo choroba to brzydka rzecz.

Kiedy kończył te słowa, szable w przedpokoju zabrzękły, Walenty drzwi roztworzył i na czele orszaku oficerów ukazał się Kościuszko. —

Prezesowa wzruszona, nie mogąc wyrzec słowa, pochwyciła rękę męża, a całując skropiła ją łzami: Panna Brygida i Tekla mimowolnie zawołały:

— A pan Tadeusz!

Tocia ujrzawszy go, zbladła, wkrótce odzyskała rumieniec; radość i szczęście zajaśniało w jéj oczach i obliczu. Jenerał, którego serdecznie powitał Żurowski, pospieszył do osłabionéj prezesowéj, przykląkł na kolano, a ująwszy jéj ręce i całując, patrzał oczyma łez pełnemi w jéj twarz, jak się rozjaśniała niezwykłém weselem. — Klęczącego ujęła głowę, a całując szepnęła:

— Mój synu! pociesz biedną Tocię. —

Wszyscy głęboko byli poruszeni tym hołdem i cześcią, jaką złożył jenerał zacnéj matronie. Doktór, porwawszy silnie za rękę prezesa i surowo nań patrząc, w milczeniu wskazał na klęczącego jenerała. Stary kredencerz Walenty, co stał w końcu sali, rozbeczał się i uciekł do przedpokoju.

Kiedy wszyscy milczeli, pierwszy przerwał gospodarz i rzekł:

— Bóg dotknął mie chorobą mojéj panienki, ale dzięki mu i staraniu a nauce szanownego doktora wraca do zdrowia. Chiałem, aby grono życzliwych przyjaciół podzieliło ze mną moje szczęście i radość. I jesteśmy wszyscy razem, aby uczcić ten dzień....

Ale wzruszony — daléj mówić nie mógł i odwrócił głowę, żeby łzy ukryć.

Kościuszko z rzewnem uczuciem zbliżył się do Toci i powitał je po długiém niewidzeniu. Usiedli oboje przy oknie na małéj kanapce, a ciotka z rotmistrzem i panna Tekla z Kniaziewiczem tak miejsca zajęli, że ukryci oboje przed wszystkich oczyma swobodnie rozmawiać

mogli. Rotmistrz Potocki i doktór, jakby podmówieni, bawili gospodarstwo; radość prezesa była nieopisaną, gdy usłyszał pierwszy głośny śmiech, serdeczny swojéj panienki.

— Widzisz, panie Macieju! — szepnął mu doktór — co to może wesele serca! patrz na oblicze żony, a ożywione spojrzenie, rumieniec na twarzy, jak ładnie wygląda! To najlepszy doktór i najpewniejsza apteka!

Panna Brygida dała znak do wieczerzy. Usiedli wszyscy do stołu: jenerał znalazł się obok Toci, Tekla przy Kniaziewiczu, Zaremba przy pannie Brygidzie. Doktór obok prezesowéj, przy nim gospodarz, a naprzeciwko zajął miejsce rotmistrz Potocki razem z Raciborskim. Walenty obnosząc potrawy, gdy się zbliżył do jenerała, pocałował go w ramię, który ścisnął poczciwego starca za rękę. Kiedy prezes nalał kielich wiwatowy i miał wznieść go w górę — nagle pod gankiem zabrzmiała kapela wojskowa. Była to niespodzianka, urządzona przez Kniaziewicza i Zarembę z Raciborskim. Zagrała znany i ulubiony marsz króla Sobieskiego z pod Żurawna.

Żurawski zadrżał na tę nutę, tak dobrze sobie znajomą, postawił pełny kielich na stole, zapał niezwykły zajaśniał mu w oczach i wtórząc kapeli, zaczął silnym a dźwięcznym głosem śpiewać dawną pieśń na chwałę króla Sobieskiego, przywiązaną do téj nóty. — Zawtorowali mu Potocki, Zaremba, Kniaziewicz i Raciborski: połączyły głos swój prezesowa, panna Brygida i Tekla. Chór ten brzmiał donośnie, a kapela słysząc go, z nowym przygrywała zapałem. Tylko pan Tadeusz i Tocia patrząc na siebie wymownym wzrokiem, milczeli. —

Pieśń się skończyła — kapela ucichła. Prezes wybiegł uradowany na ganek i rzucił w sakwie jedwabnéj tuzin dla niéj dukatów. Walentemu kazał dać częstunek suty, a sam kłaniał się i dziękował serdecznie. Kapela tak hojnie nagrodzona i gościnnie podjęta, w końcu kolacyi wesołego zagrała chmiela.

Prezes po wzniesieniu zdrowia króla Jegomości, przesławnéj Rzeczypospolitéj, wojska, zdrowia jenerała i towarzyszów jego broni, rozochocony, gdy usłyszał ludową weselną pieśń o chmielu, z kielichem ukląkł przed swą panienką, odśpiewał parę téj pieśni zwrotek, a potém całując jéj ręce, mówił z serdeczną radością:

— Panienko moja! duszko złota! czy słyszysz, co grają? Wszak ci to i na naszém weselu grano i śpiewano przy twych oczepinach chmiela. Dobre to były czasy i panienka moja pewnie w żywéj je zachowała pamięci....

Chciał więcéj coś mówić, ale z wdzięcznym uśmiechem zacna matrona białą dłonią zakryła mu usta, szepnąwszy z cicha:

— Cicho, Maciusiu! chcesz za wiele mówić.

Do północy bawiono się wesoło: prezes ściskał wszystkich i całował. Doktór dał znak rozejścia się, żeby choréj zbyt nie utrudzić.

Wszyscy przespali tę noc smaczno: Zaremba chwaląc się, mówił, że spał jak suseł: nawet jenerał obudził się dopiero o siódméj nad ranem. — Zanim wyjechał na przegląd przybyłéj świeżo kawaleryi do Międzyborza, pisał coś długo: a kiedy wpadł Kniaziewicz, prosił go, aby doręczył list chorążance — jak zwali Tocię — bo prezes nosił w sąsiedztwie swojém tytuł chorążego. — Spełnił życzenie jego: a Tocia, z radością czytała następne wyrazy:

„Powiedz swoje zdanie, Teklusiu!

Do Jaśnie Wielmożnego Chorążego. Od JW. Pana zawisł mój los, w jego ręku uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham JW. Chorążankę, a że chciałbym bydź jej przyjacielem dozgonnym, jemu się zwierzam. Znam sentymenta jego, charakter i sposób myślenia, zupełnie się spuszczam na jego układ, wolą urządzenia. Wiem że uszczęśliwiając jedną osobę, niezapomniesz o drugiej. Jeżeli pozyskam jego aprobatę, a która z pierwszego poznania, wraziwszy w sercu moim winne mu uszanowanie, chciałaby przydać przywiązanie synowskie aż do śmierci. Nieomylisz się JW. Pan Dobrodziej w niéj w niczem. Zawsze otwartość z prawdą idzie, nie obojętność albo uleganie do okoliczności, ale wdzięczność w każdym czasie nieprzerwanie za dobrodziejstwo jemu skazane [1]).“

List ten napisał wskutek tak serdecznego wczorajszego przyjęcia i narady zobopólnéj z chorążanką. Pochwaliły ten zamiar matka, panna Brygida i Tekla. Tocia odpisała, że myśl dobra i potrzeba przyspieszyć nadesłanie takiego listu.

Kościuszko jeszcze tegoż dnia go przepisał i przez Kniaziewicza posłał, ażeby doręczył go prezesowi.— Sam rozdraźniony — w oczekiwaniu, siadł na konia i wyjechał za miasto.

Śliczne okolice Międzyborza, świeży powiew wiosenny wpłynęły na jego uspokojenie. Wrócił do kwatery już późno wieczorem, ukończywszy przegląd dwóch szwadronów jazdy, a stary Jędrzej doręczył mu kartkę od Kniaziewicza w tych słowach:

„Jenerale! doręczyłem twój list prezesowi. Nie rozpieczętował go przy mnie, ale oświadczył, że późniéj nań odpisze. Był uprzejmy jak zwykle i gościnny, ale więcéj zasmucony.

Karól.“

VIII.

W kwaterze rotmistrza Zaremby na rynku Międzyborza ruch był niezwykły. Uwijało się kilku szeregowców, biegał Raciborski po mieście, a Janusz Gil ze szwadronu rotmistrza, który oprócz zalety, że wybornie grał na trąbcę, był zawołanym kucharzem, po obszernéj kuchni przy wielkim ognisku komina z przewiązaną głową, z zakasanemi rękawami i białym u pasa fartuchem, uwijał się żwawo i kuchcikowi oraz dwom rekrutom wydawał rozkazy.

Mała kupka kartofli, jarzyna wówczas osobliwa, leżała na stole. Zaremba wydał mu szczegółowe rozporządzenie co do ich przyprawy, a nauczył się jéj

[1]) Dosłownie z oryginału Kościuszki.

w obozie konfederackim. — Przysłano jako dar osobliwy Kazimierzowi Pułaskiemu woreczek kartofli i oddano jego kucharzowi. Ten w głowę zachodził co z niemi zrobić, ale w końcu wpadł na wyborny koncept, obrał z łupiny, ugotował i podał z jajecznicą. Wszyscy nie mogli się odchwalić smaku nowéj potrawy i nasz rotmistrz wtedy razem ją pożywał: pamiętał więc dobrze, jak się obejść z kartoflami.

Walenty stary od rana pokilkakroć przychodził a przynosił od panny Brygidy i w imieniu pani prezesowéj, to chorążanki rozmaite przysmaki do przykrasy uczty, jaką dziś dawał Zaremba.

Z Warszawy przyjechał do Międzyborza poseł z sejmu Morski, przyjaciel i wielbiciel gorący Kościuszki. Rotmistrz, który go znał od lat młodych, dla uczczenia miłego gościa podejmował go kawalerskiém śniadaniem. —

Około południa w gronie znanych nam oficerów, szedł w polskim stroju z szablą u boku Morski. Piękna jego postać odbijała od urodnych wojaków. Dobrego wzrostu, średniéj tuszy, okazale w kontuszu i żupanie wyglądał. Czapka rogatywka okrywała podgoloną głowę. Wąs sumiasty zdobił oblicze pociągłe, wdzięczne i czerstwe. Rotmistrz już czekał przy wnijściu na wschody na gościa swego. —

Na pierwszém piętrze stał Zaremba: miał dużą komnatę o dwóch oknach z gankiem na rynek, a przy niéj dwie alkówki. — Na środku komnaty już stół był suto zastawiony: smak tu kredencerza Walentego odbijał. Kwiaty z ogrodu doktora zdobiły środek, przy nich stały konfitury rozmaitego gatunku, dar to panny Brygidy i Toci. Pomiędzy nakryciem przed honorowém miejscem stały dwa gąsiorki opleśniałego węgrzyna, przysłane z piwnicy prezesa, który z powodu lekkiéj słabości bytności swéj odmówił. — Kościuszko od kilku godzin wyjechał był do Połonnego po długiéj rozmowie z Morskim. —

Po przepiciu wódką gdańską i zakąsce toruńskim piernikiem zebrane towarzystwo zasiadło do stołu. Morskiego posadzono przed gąsiorkami, a gospodarz dał znak, aby przynoszono z kuchni. Walenty po obsłudze państwu swemu zdążył na czas do pomocy rotmistrzowi i sam obnosił potrawy.

Kawalerskie śniadanie rozpoczął barszcz, na wołowinie i wieprzowinie gotowany: po nim dano wyborne kiełbasy z zawiesistym sosem, dar od pani burmistrzowéj Międzyborza, która niedawo zabiła wieprza, a jako daleka krewniaczka rotmistrza nadesłała spory ich zapas. Teraz wniesiono na półmisku ogromnego szczupaka po żydowsku: wszyscy nie mogli się dość go nasmakować. Było to arcydzieło trębacza Janusza, który się przyprawy téj ryby nauczył już w Międzyborzu od młodéj arendarki z austeryi pani Mordkowéj. — Po szczupaku podano raritas, jak wyrażał się Zaremba, — kartofle z jajecznicą — kończyła sutą ucztę ogromna pieczeń huzarska, po któréj częstował słodyczami gospodarz. — Ale obecni zaledwie je pokosztowali; jeden Raciborski co się niemi uraczał obficie.

Rozmowa nie szła składnie, bo wszyscy przy dobrym apetycie naprzód głód zaspakajali. Ale przy wetach i po czystym węgrzynie rozwiązały się usta. Przyniesiono czarną kawę i fajki. —

— Teraz — mówił gospodarz do Morskiego — mój panie Piotrze, opowiedz nam nowiny stołeczne. My tu na partykularzu sidzimy, jak mnichy w klasztorze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do .....

Nous souffrons tous en secret!
(V. Hugo.)

Daremnie do uśmiechu zmuszasz ust korale,
Daremnie spokój serca chcesz ogłosić słowy,
Ciężką żałość zdradzają ciche westchnień fale,
I wzrok tęskny, marzący zdradzić cię gotowy.

Ty bawisz się wesoło, swobodnie jak dziecię
I przed ludźmi szczęśliwa i płocha się śmiejesz,
Lecz twe serce żal cichy i ból skryty gniecie —
I samotna w ukryciu łzy tęsknoty lejesz.

Twój włos złoty urocze wieńczy róży kwiecie
I zielonemi listki opada na skronie,
Ale ciernie w różanéj ukryte koronie,
Ranią twe tkliwe serce, o! biedne ty dziecię.

Nieraz zdajesz rozmową bawić się przyjemnie,
Wdzięcznym darzysz uśmiechem towarzyszek grono,
Lecz kto zasłonę duszy twéj podniósł tajemnie,
Ujrzał, jak wszystkie myśli jedną zbiegły stroną.

W téj stronie.... o! nie powiem, żal miałabyś do mnie,
Nie chcę, by z modrych ocząt łza spłynęła nowa,
Pytana nawet milczeć przyrzekam niezłomnie,
Nie — jednego już odtąd nie wyrzeknę słowa.

Lecz poprzestań się smucić! — twój wiek jeszcze młody,
Wiosna nowe ma kwiaty, a życie — marzenia —
Z Letejskich źródeł czerpaj spragniona ochłody,
Ranę serca zagoi balsam zapomnienia.

Na drodze twojéj uwiądł jasny kwiatek róży,
Zbladła złota gwiazdeczka na życia błękicie,
Lecz tém milsza pogoda zawita po burzy
I zieloną nadzieją opromieni życie.

Wtenczas, wspomniawszy chwilę, gdy łzami zalana
Gwiazdkom na niebie serca spowiadałaś dzieje,
Lubym cichego szczęścia urokiem owiana
Z uśmiechem teraźniejsze powitasz koleje.

Bo co ziemskie, niestałe! — wnet nowe wrażenia
Zacierają dawniejsze — dziś boleść, tęsknota!
Z wiarą jutra czekajmy i ponure cienia
Znów rozproszy nadziei gwiazdka szczero-złota.

Poznań, dnia 1 Lutego 1869.

T...... R.

Śmierć Barbary Radziwiłłówny.

(Z Ryciną.)

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina zrobiła przed kilku tygodniami dużo hałasu w całém dziennikarstwie polskiém, pojawiając się w lipskiéj Illustrirte Zeitung jako oryginalny rysunek pana de Casso, podczas gdy każdy znawca polskiego malarstwa mógł w nim na pierwszy rzut oka poznać genialny pędzel naszego wielkiego artysty Józefa Simmlera z Warszawy. Protestacye prasy polskiéj a mianowicie Dziennika Poznańskiego przeciw temu plagiatowi odniosły pożądany skutek i spowodowały redakcyą czasopisma niemieckiego do umieszczenia w najbliższym numerze sprostowania, w którym oświadczyła, że jedynie przez pomyłkę rycina Simmlerowskiego arcydzieła nazwaną została oryginalnym utworem p. de Casso.

Jakkolwiek zapewne już niejednemu z naszych czytelników obraz ten bądź z fotografii, bądź téż zkąd inąd jest znanym, nie wahaliśmy się umieścić drzeworytu jego w Sobótce, ile że zasługuje na rozpowszechnienie w jak najszerszych kołach. Jest to prawdziwa perła ojczystego malarstwa, która nie tylko w kraju jak najzaszczytniejsze znajduje uznanie, ale nawet na wystawie powszechnéj w Paryżu r. 1867 ogólny budziła podziw. Znaczenia obrazu nie potrzeba pewnie tłomaczyć publiczności polskiéj. Komuż bowiem miałaby być nieznaną pełna romantycznego uroku historya królowéj Barbary? Obszerna monografia Michała Balińskiego i prace innych historyków, bardziéj zaś jeszcze dramatyczne utwory Felińskiego, Wężyka, Magnuszewskiego i Odyńca wplotły ją w wieniec najulubieńszych tematów poetyckich narodu.



Dodać tylko winniśmy, że powszechne mniemanie, jakoby młoda małżonka Zygmunta Augusta otrutą została przez Bonę, nie jest oparte na pewnych podstawach. Moraczewski w swych Dziejach Rzeczypospolitéj Polskiéj twierdzi przynajmniéj stanowczo, że królowa Barbara umarła naturalną śmiercią na raka, jakkolwiek przyznaje, że sam Zygmunt August — którego nieutulony żal po żonie Simmler tak pięknie w niniejszym obrazie przedstawia — posądzał matkę o otrucie.

e.

Zmartwychwstanie z trumny.

Obrazek z niedalekiéj przeszłości

skreślił **Stefan Chorm.**

(Dalszy ciąg.)

Komendant się zmięszał. Kilku młodszych oficerów zaczęło coś szeptać do pułkownika moskiewskiego. Po chwili tenże wydał rozkaz stawienia warty pod oknem, a obróciwszy się do wojskowego doktora, rzekł: „Niech doktór opatrzy rany, byśmy mogli go przewieść do garnizonu, zrobić sąd i rozstrzelać.“ — „Zdaje mi się, panowie, że go żywego nie dowieziecie, bo on lada chwilę wyzionie ducha,... szczególniéj po takiém wzruszeniu!“ — przemówił lekarz, co opatrywał wszystkich rannych. — „Jak umrze, to go nie powieziem, ma się rozumieć — rzekł pułkownik — tymczasem zrewiduj go“ — i kiwnął na wojskowego lekarza.

Na łożu świeciło posągowéj bladości oblicze rannego dowódzcy, który, omdlawszy z uniesienia, zachował dziwnie szlachetny i groźny wyraz twarzy. Kilku młodszych oficerów z pewnym niepokojem spoglądało na te lica. Nawet na pułkowniku moskiewskim zrobiły one wrażenie. Spuścił oczy i z uszanowaniem po cichu na palcach wyszedł z pokoju. Inni oficerowie wychodząc za nim, z pewném wewnętrzném nabożeństwem rzucali jeszcze wzrok na omdlałego dowódzcę, prócz komendanta, który coś mruczał pod nosem i sapał ze złości.

Wyszli przed dom, gdzie komendant wpadł na gospodarza. — „Toś pan nie wiedział, że miałeś takiego ptaszka w domu?“ — „Nie“ odpowiedział tenże — „No! to się pan ciesz, żeś miał w gościnie, — dodał szyderczo pułkownik, — tak wielkiego człowieka.“ — „Jesteś pan wolny — już łagodniéj przemówił komendant, — ale dajcie nam śniadanie, bo djable jesteśmy głodni.“ — „Przepraszam panów — rzekła nadchodząca gospodyni — lecz chyba na dworze nakryć każę, bo wszystkie pokoje zajęte prócz sieni. — „To nic nie szkodzi! po wojennemu dzisiaj można nakryć i w sieni,“ — odparł pułkownik. — „Ale czy to panom nie będzie przeszkadzało, że obok zaraz ranni?“ — z przyciskiem zapytała gospodyni. — „Bynajmniéj, nawet zaostrzy apetyt.“ — Nie odpowiadając na ten moskiewski dowcip, odeszła gospodyni. — po chwili stół został nakryty w sieni, do któréj z dwóch przyległych pokoi dochodziły jęki rannych. Wesoło do stołu zasiedli wczorajsi bohaterowie mordów i dowcipkując, (jeżeli dowcipem można nazwać płaskie i tłuste uwagi) zajadali i zapijali, raz poraz śmiechem zagłuszając dolatujące jęki.

Gwałtem posadzili obok siebie kilku bawiących tam z sąsiedztwa obywateli i chcieli prowadzić wesołą gawędkę. — Przechodzącą gospodynią zaczepił w te słowa pułkownik: — „Bardzo nam przykro, iż piękne panie nie raczą z nami śniadać,“ — lecz ta z oburzenia udając, że nie słyszy, nic nie odpowiedziawszy, odeszła.

Właśnie usiadł do stołu obywatel jeden, przybyły od rannych i szepnął drugiemu, iż co tylko doktorowie jednemu z ciężko rannych wydobyli kulę i że żyć jeszcze może. Słysząc to komendat — „to trzeba mu poprawić“ — zawołał.

Jako hyeny, co wyjąc biesiadują na trupach, tak tutejsza czereda hulała tuż obok jęku i konania ofiar swych mordów. Trzeba nie zapominać, iż to nie wymysł czczy, ale prawdziwe zdarzenie! Kanibalowa uczta odbywała się w 19 stóleciu w Europie — w 1863 roku! Ileż podobnych jéj się odbyło!

Nakoniec wchodzi lekarz wojskowy. Zobaczywszy go, zawołał pułkownik: — „Jakżeż z rannym?“ — „Zdaje mnie się, iż najdłużéj z 6 godzin pożyje.“ — „To będziemy jeszcze dzisiaj na jego pogrzebie! jakoś nie miał ochoty odwiedzić nas w mieście!“ śmiejąc się sam ze swego niby — dowcipu, bełkotał komendant. — „Wypijmy na jego zdrowie“ — to mówiąc, wychylił spory kieliszek. —

Zwolna zaczęli się wszyscy obywatele do sieni schodzić i utrzymywała się rozmowa dziwnie sztuczna między obywatelstwem a Moskalami. Zaiste! łatwiéj prawie napisać sławny monolog Hamleta, niż utrzymać podobną konwersacyą!

— „Co to ten Hipolit dziś tak chce ich spoić?“ — szepnął jeden obywatel do drugiego, patrząc na gospodarza, który naraz zrobił się dziwnie rozmownym i zachęcającym do picia. — Po chwili pokazały się opleśniałe butelki starego węgrzyna, które bez wielkiego proszenia wypróżniała moskiewska starszyzna. — Zamąciło się już w moskiewskich mózgownicach, zaczęły się sypać tak bezecne mowy, iż kto mógł, od nich się wynosił. Hulali i nikt im nie śmiał przeszkadzać.

Z podziwieniem tylko patrzeli sąsiedzi, iż gospodarz był dla nich kusząco gościnnym, zachęcając do dalszéj pijatyki. — Słońce już wysoko było na niebie i przychodzić zaczęło ku południowi, kiedy się zjawił znowu lekarz wojskowy. — Kto nie był pijanym, poznał, iż z tajemném pomięszaniem wyrzekł: „właśnie ranny kona!“ — Cicho się zrobiło w kole biesiadujących. Wszyscy jakoś zachmurzyli się. Zapiłym, szyderskim głosem przerwał ciszę komendant, bełkocąc: — „Już czas, żeby się wyniósł buntowszczyk, bo ja już dłużéj nie myślę czekać, aż zdechnie. Poczekaj doktorze! zaraz pójdę z tobą zobaczyć go jeszcze“ — i taczając się, wlókł się za doktorem. Za nim ruszyła cała czereda pijanych oficerów. — Doszli do pokoju konającego: na łożu ksiądz pleban siedział i trzymał wraz z konającym gromnicę, w około klęczały kobiety i odmawiały litanie konających. Komendant, który lubił się pastwić, przeraził się jednakowoż widokiem konania. Ponury i wzniosły obraz, który bił w oczy, nie przypadł mu do smaku. Klnąc więc coś pod nosem, zaraz się wynosił. Dowódzca widać było robił ostatnie wysilenia piersiami — i zamknął już oczy. Za komendantem z wolna wynieśli się inni oficerowie, powarzeni trochę całym widokiem. W sieni się znowu rozpoczęła pijatyka na zabój! — W tém płacz i lamentowanie dobiegły do ich ucha. Wszedł lekarz wojskowy dziwnie blady i „umarł!“ powiedział. „Tém

lepiéj dla nas!" wyrzekł pułkownik. — „Będziemy mieli kilka kul więcéj!" zabełkotał komendant. — „Proszę panów trochę na bok ustąpić, — wchodząc od dworu, rzekł gospodarz, — a za nim kilku ludzi niosło trumnę do pokoju, gdzie skonał dowódzca. W krótkim czasie było słychać pukanie młotka przy zabijaniu trumny. —

Zwolna przed dworem zbierali się ludzie, przybył w pogrzebowym ornacie ksiądz pleban, — zajechał wóz kirem pokryty. — Kilku oficerów poszło, gdzie stało ciało zmarłego, a reszta, nie mogąc już pić więcéj, taczała się, siedziała lub spała przy stole. Obywatele wzięli na barki trumnę i włożyli na karawan. Ksiądz pleban, zalewając się łzami, zanucił pieśń konduktową. Zwolna ruszał pogrzeb ku cmentarzowi. — Wszyscy wybladli i niemi postępowali za trumną, bo na łzy mało kto się mógł zebrać. Zaschło ich źródło dzisiejszéj nocy, lub wczorajszego wieczora. — Tylko scena w katakombach, gdy pierwsi chrześcianie chowali nowego męczennika, mogła temu tragicznie pięknemu pochodowi wyrównać. Są chwile tak urocze, iż choć nieme, więcéj robią wrażenia, niż najwymowniejsze krasomówcze żale. Są one w stanie wzruszyć najdziksze nawet serca. To też spotykająca pogrzeb tłuszcza carska — pomięszana i z uszanowaniem go przepuszczała. Wszystko tak było w téj chwili nieme, tak nie do opisania rozbolałe, iż tylko określić možnaby ów stan niezrównany zwrotką pieśni narodowéj: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniéj, do Ciebie Panie bije nasz głos!" —

Już przybyli na cmentarz, gdzie ogromny grób wspólny był wykopany, a w nim świecił rząd poustawianych na sobie trumien. Spuścili trumnę do grobu, nie zasypując jéj, bo czekali jeszcze na kilku innych kandydatów śmierci, którzy lada chwilę mieli umrzeć. „R e q u i e s c a t i n p a c e!" — wyjęknął pleban i sam na widok tylu ofiar głośno zapłakał, a za nim rozpaczliwie prawie jęczeć zaczął cały orszak pogrzebowy.— Kilku mężczyzn tylko, zamiast jak inni w niebo, po ziemi błądziło osłupiałym wzrokiem. Wzrok to był okropny; malowało się w nim zwątpienie bez granic w sprawiedliwość Boską. Jedna tylko osoba w tém gronie ani się modliła, ani rozpaczała, lecz z zadowolnieniem pewném spoglądała na trumnę. Był to gospodarz. — Ustały pacierze, kilka grupek ziemi padło na trumnę i zwolna wyludniał się cmentarz. —

We dworze carska drużyna podchmielona, nie mogąc jechać konno,powsiadała na podwody. Komendant pijany ani się nie pożegnał, pułkownik ledwie jakieś b o n m o t znów zdołał do dam wybełkotać. — Jeden tylko z nimi odjeżdżał nie pijany; jemu też tylko, żegnając, silnie ścisnął rękę gospodarz. Był to lekarz wojskowy, który dziwnie pomięszany i blady był na twarzy. — Widać, iż te okropne sceny oburzały jego duszę. (Dokończ. nastąp.)

O tworzeniu się źródeł.

I.

Różne bywały i bywają jeszcze wyobrażenia o pochodzeniu źródeł. Kartezyusz wystawiał sobie we wnętrzu ziemi jamy wielkie, do pewnéj wysokości napełnione wodą, która w skutek panującego tam ciepła paruje, unosi się w górę, a ochłodzona zimniejszém sklepieniem owych pieczar ściąga się i tworzy wodę, potém zaś wychodzi szczelinami na powierzchnią ziemi w postaci źródeł. Łatwo byćby mogło, że owa ostudzona para, zamieniona w wodę, zamiast się daremnie przeć ku górze, spadłaby tam, zkąd przyszła, to jest na dno owéj pomyślanéj jamy; Kartezyusz atoli, jako biegły fizyk, byłby może na podobny zarzut taką wymyślił konstrukcyą sklepienia, że woda poniewoli na zewnątrz wyjśćby musiała.

Była to jedna z pierwszych prób wyjaśnienia rzeczonego zjawiska natury, która nam się teraz dość nienaturalną wydawać może; należy atoli mieć na względzie, że Kartezyusz nie był następcą, lecz poprzednikiem Newtona.

Nie lepsze wyobrażenia o tworzeniu się źródeł miał Kepler. Wielki ten astronom, a z usposobienia wielki także marzyciel, gotów był uważać ziemię za żyjącą istotę, która w sposób naturalny, organiczny wodę ze siebie wydziela. Jego późniejszy zwolennicy umyślnie do tego procesu we wnętrzu ziemi nerki wymyślili, poczém trudna ta sprawa wydzielania wody w postaci źródeł żadnéj już trudności ziemi nie sprawiała. Był czas, kiedy zapatrywania takie u pewnego rodzaju uczonych bardzo były rozpowszechnione, teraz zaś znów się odnawiają u niektórych francuzkich geologów, wszelako we formie nie tak dziwacznéj.

Przyjmowano też, że dno morza ma szczeliny, któremi woda do wnętrza ziemi się dostaje, ztamtąd zaś wychodzi na powierzchnią, tworząc źródła w najdalszych od morza stronach.

Są wreszcie i tacy, którzy mniemają, jakoby rzeki np. Wisła, mogły wysyłać ukryte po ziemią ramiona na tę lub ową stronę, np. do Wieliczki. Takie i podobne wyobrażenia pojawiają się dotąd, bez wszelkiéj już atoli podstawy, ponieważ się sprzeciwiają elementarnym prawom fizycznym, a mianowicie prawu ciężkości, które zarówno rządzi ciałami niebieskiemi, jak drobnym prochem i kroplą wody na ziemi. Woda wszędzie szuka spadku, a pod górę płynąć nie może. Gdyby spadek Wisły był ku Wieliczce, to nie jedno ramię, lecz cała rzeka byłaby tam popłynęła. Że się tak nie stało, przyczyna w tém, że dolina Wisły niżéj leży, niż Wieliczka.

Niejaką przeciwność stawia ciężkości włoskowatość i siła nacisku w naczyniach spółkujących. — Nacisk téj części Wisły, która sięga od jéj początku aż ku Wieliczce zużywa się na dalszy wart rzeki; włoskowatość zaś zawsze jest słabą tylko siłą i przy najlepszych warunkach od Wisły na milę nie sięga, a zwłaszcza przy tém pewniku, że sobie rzeka koryto swoje zawsze żłobi do pewnéj stałości.

Przypuszczenia Kartezyusza i Keplera tenże mają błąd kardynalny, że nie stósują się do budowy skorupy ziemskiéj, o ile takowa jest zbadaną i sprzeciwiają się wprost prawu ciężkości, postawionemu atoli dopiero przez ich następców na fundamentach, do których założenia wiele ci ludzie przeważnie się przyczynili.

II.

Przeciw podobnym przypuszczeniom można teraz postawić spostrzeżenie, niekiedy nawet ścisły rachunek. Pierwszym, który na téj drodze właściwy sposób tworzenia się źródeł rozpoznał, był Mariotte, znany fizyk uczony. I tutaj się okazało, jak skłonni są ludzie do wymyślania przyczyn nadzwyczajnych, gdzie bardzo proste działają. — Mariotte uważał na znaczny pokład kamieni i piasku, zwieziony do budowli i złożony na twardéj ziemi. Przechodząc obok tegoż w dni kilka po ostatnim deszczu, ujrzał strugę, z pod piasku i kamieni ciekącą. Nie znajdując żadnego świeżego wypadku,

którybyby był mógł to sprawić, trzeba było po przyczynę w tył sięgnąć w czasie i wtedy wytłomaczenie tego spostrzeżenia nie było trudne: woda która spadła z deszczem na ów pokład i która nań ściekała z dachu przyległego domu, potrzebowała niejakiego czasu, aby spłynąć po kamieniach i przesączyć przez piasek; w skutek sprzyjającego ułożenia owych materyałów zebrała się w miejscu najniższém i ciekła z tamtąd w kształcie źródła świeżo utworzonego. Bystremu umysłowi Mariotta dało to pochop do powzięcia prawdziwego wyobrażenia o tworzeniu się źródeł, które później ugruntował, na dalsze następstwa rozszerzył, ważnemi badaniami nad ruchem ciał płynnych i siłą ich spadku zbogacił. Możnaby go tedy nazwać ojcem nowszéj hydrografii, którą to naukę zwłaszcza ze względu na teoryą źródeł, następni po nim uzupełnili fizycy i geologowie: Fabre, Poncelet, inżynierowie francuzcy; De Luc, Francuz, profesor w Getyndze; De la Metterie, uczony francuzki z końca przeszłego wieku; Muncke, zamożny obywatel niemiecki zajęty nauką jeografii. Hube, dyrektór szkół w Warszawie za czasów Prus Południowych; Studer, niegdyś profesor w Bernie; Bischof, profesor w Bonn; Cotta, profesor w Freiburgu; — Eytelwein i inni.

III.

Powyższy przykład wyjaśnia zarazem najdokładniéj ogólne warunki tworzenia się źródeł: potrzeba do tego najprzód deszczu, który musi spadać na warstwę ziemi wodę przypuszczającą; pod tą ma się znajdować warstwa ziemi zatrzymująca wodę; obie warstwy muszą mieć pewną pochyłość w jakąkolwiek stronę i muszą gdzieś na jaw wychodzić.

Najważniejszym warunkiem jest woda, bez któréj źródło się nie utworzy, choćby warstwy były najdogodniejsze i która się téż z ziemi wziąść nie może, jeżeli się tam wprzódy nie dostała; dostaje się zaś tylko w warstwy zwierzchnie przez nasiąknięcie. W głębi ziemi żadnych zapasów wody być nie może, ponieważ się to sprzeciwia teoryi o wewnętrznem cieple naszego planety.

Aby woda deszczowa po wierzchu zaraz nie spłynęła, potrzebnesą zwierzchnie warstwy ziemi, wodę przepuszczające, których materyałem są pospolicie rożne gatunki piasku. Przez takie pokłady przechodzi ona i sączy tak głęboko, dopóki nie trafi na warstwę ziemi ścisłą i twardą, jaką u nas pospolicie tłusta glina tworzy, gdzieindziéj łupki krystaliczne, lub skały pierwotne. Gdzie zwierzchnie warstwy są twarde, tam woda ścieka po wierzchu, a w głąb' tylko się szczelinami dostaje, co wszelako nie przeszkadza, aby i tak źródła jakiego nie utworzyła.

Woda, zebrana na twardéj i ściśléj warstwie pod powierzchnią ziemi, tworzy żyłę zaskórną, która według prawa ciężkości szuka sobie spadku. Ponieważ zaś powierzchnia ziemi w skutek różnych wstrząśnień i przemian, sprawionych przez siłę ognia i wody, wielorako jest dotknięta, warstwy jéj w różny sposób poprzerywane, pozaginane i przerzucone, przeto często się zdarza, że warstwy, wodę prowadzące, kończą się na pochyłości gór, wzgórz i pagórków niby ułamane, a woda między niemi ciekąca w takich miejscach wyjście na zewnątrz znajduje.

Zdarza się atoli dość często, że warstwy, wodę prowadzące, w skutek jakiegoś przerzucenia, przez rzeczone siły sprawionego, nie mają ciągłéj pochyłości, lecz owszém w górę są zagięte. Woda ścieka w nich do najniższego punktu, lecz nie znajdując wyjścia, pod wpływem nacisku całéj zebranéj już żyły, podnosi się między temiż warstwami. Siła nacisku i sprężystości jednego ramienia wody pokonywa do pewnego stopnia siłę ciężkości i tworzy żyłę wody o dwóch ramionach, z których jedno ma wodę z góry płynącą, drugie wodę do góry partą. W fizyce wyjaśnia się to teoryą o naczyniach spółkujących.

W górę zagięte warstwy ziemi, także wychodzą gdzieś na jaw i otwierają wyjście źródłu, które w takich miejscach z mniejszą już siłą wypływa, a wypływa wtedy tylko, gdy ramię drugie nie jest wyższe od ramienia pierwszego. Gdzie ramię drugie jest wyższe, tam pozostanie stojąca żyła zaskórna. Toż samo zdarza się w okolicach płaskich, które albo żadnego, albo słaby tylko mają spadek. W takich miejscach stojąca żyła zaskórna oddziaływa na warstwę zwierzchnią i tworzy moczary, mokre a zimne grunta. Zbytek przypływu odciąga się przez parowanie.

W okolicach płaskich pokazują się także źródła gdzie niegdzie, które wszakże słabą tylko wypukłością na swéj powierzchni okazują słabość nacisku, czyli niskość całéj żyły.

Tak w płaskich więc, jak i górzystych okolicach zbierają się żyły wodne w równéj obfitości, lecz ponieważ pokłady ziemi w górzystych krajach częściéj i gwałtowniéj są poprzerywane, tam przeto żyły te częściéj i silniéj się wydobywają na powierzchnią w postaci tryskających źródeł. (Dokończenie nastąpi.)

Sobotnia pogadanka.

Chrapliwe hasło: „Z prochuś powstał!“ zagłuszyło ostatnie dźwięki mięsopustnéj galopady, roztańczone nogi urwały w pół taktu szalony pląs, by pobożną zrobić genufleksyą, a szary, pokutniczy popiół posypał się na najeżone czupryny i piramidy warkoczów, w których gdzie niegdzie złoty świecił jeszcze proszek, wyganiając z gołębnika myśli wszystkie hołubce, szampany i... mięsne przysmaki. Wśród bicia rannych sygnarków i ostatnich wystrzałów pieniącego się moüetu skonał Karnawał, rzucając pod nogi zwycięzkiemu Postowi całe pasmo wysnutéj z serc miłosnéj przędzy, któréj nie miał już czasu z polkującego wrzeciona przewinąć na maryażowe motowidło.

Jeszcze dwie tylko schadzki muzykalne w Bazarze z łaski naszych artystów: pp. Friemanna, Górskiego i Grzywińskiego, a arystokratyczna śmietanka Księstwa, którą Ostatki zebrały w stołecznym garnuszku, rozleje się znowu po całéj prowincyi. Napływ jéj był tego roku nader wielki — nie wiem czy wskutek interdyktu, który przed kilku tygodniami spadł z Kapitolu Dziennika, na coroczne wędrówki naszéj haute volée do karnawałowych cieplic Drezna lub Paryża, czy téż z innych np. finansowych powodów.

Z najdalszych kończyn Wielkopolski, a nawet z takich stron, gdzie świat deskami zabity, zjechało się obywatelstwo tak rojnie a strojnie do Poznania, że miasto zmieniło na chwilę swą fizyonomią i wbrew swemu charakterowi, jako strażnicy północno-niemieckiéj Rzeszy nagle czysto-polskiém zakipiało życiem. Wielka sala Bazaru, którą nie tak łatwo zapełnić, okazała się tą razą za małą i nie mogła pomieścić wszystkich dostojnych swych gości. Na balach, które się w murach jéj co noc odbywały, z trudnością tylko przychodziło tańczyć: polki były po prostu grą w karambolaże a kontredanse grzecznem przeciskaniem się z jednéj strony sali na drugą, przyczém damy illuzyą tańca okupywały ruiną swych ślicznych a kosztownych sukien.

Żałuję, że nie studyowałem dosyć toaletologii, bym mógł puścić się na szczegółowe opisy strojów. Zostają mi za to inne temata, jak rozdział o królowych balu, o gubieniu serc i... kryn.... wśród tańca, o upadnięciu w walcu, o zatargach kieliszkowych i wywiązujących się ztąd pojedynkach, wreszcie o żywych obrazach, o żółtych sukniach atłasowych, jako probierzach dobrego wychowania itp. rzeczach. Lecz niestety dzisiaj kazano mi być bardzo krótkim, więc urywam gawędkę. Inną razą za to obszerniéj pomówię. XX

ROZMAITOŚCI.

Wiejski polityk.

All is true…

Było to w roku 1868. Od wuja mego, mającego ziemską posiadłość w okolicy Poznania, otrzymałem zaproszenie; abym przybył do niego i wspólnie z nim przepędził święta wielkanocne.

— Zabawimy się, jak tylko będzie można — pisał mi — i pożartujemy sobie z pana profesora Tabaczkiewicza.

Ów profesor Tabaczkiewicz, był to nauczyciel elementarny, mieszkający w owéj wiosce. Człowiek staréj daty, nie grzeszący zbytkiem wiadomości i nadzwyczaj łatwowierny, był przedmiotem żartów swych kolegów i całéj okolicy. Każda wiadomość z polityki sprawiała na nim ogromne wrażenie — wieść o wojnie odejmowała mu sen. (bał się ogromnie wojny) a że zwykle wiadomości te czerpał nie z źródła mającego pewną powagę (nie czytywał bowiem gazet), lecz od swych kolegów, znających doskonale jego łatwowierność, przeto najczęściéj wiadomości te były albo całkiem fałszywe, albo tak spaczone, że na pierwszy rzut oka było można rozpoznać, że nadużyto jego łatwowierności. Pan Tabaczkiewicz każdą taką wiadomość puszczał daléj w obieg.… brał kij ogromny i podpierając się na nim, zwiedzał sioła, siejąc między spokojnych mieszkańców przestrach i trwogę…

Jak dudarz w balladzie Mickiewicza z lirą w ręku obiegał nadniemeńskie smugi, tak pan Tabaczkiewicz z koszturem swoim obiegał smugi wielkopolskie: ta tylko była różnica, że dudarz śpiewał miłość, róże, tymianek i lilie, gdy pan Tabaczkiewicz surmy wojennéj głosił dźwięki… Przybywszy pod dach wuja gościnne znalazłem przyjęcie. Rozmowa coraz bardziéj się ożywiała… w tém zapytałem:

— Cóż porabia pan profesor? — zdrów, zdrów… ale wiesz co, kochany Bohdanie?… trzeba mu porządnego strachu napędzić.

— A to jakim sposobem? śmiejąc zapytałem się. — Wiadomo ci, mówił wuj, że pan profesor nadzwyczaj jest łatwowierny — opowiedz mu np., że Rosya Prusom wypowiedziała wojnę… że wojsko moskiewskie wkroczyło już na terytoryum naszego Księstwa.

— Ale, czy on tylko da temu wiarę?

— Dla tém większéj pewności możesz wziąść jaką gazetę… i przeczytać mu kilka ustępów na potwierdzenie prawdy twych słów.

— A jak zażąda gazety i będzie chciał się naocznie przekonać?

— Nie potrzebujesz się tego obawiać, bo słaby ma wzrok — a okularów przy sobie nie nosi.

Kiedy tak rozmawiamy, mignęła w oknie jakaś postać.

— Pan profesor kroczy do nas… nie zapomnij tylko przestraszyć go!… W téj chwili wsunął się pan Tabaczkiewicz do pokoju — przyskoczył do mnie i zaczął mnie z dubeltówki całować.

— Panie Tabaczkiewicz — mówił wuj — wojna! — ogromna wojna!

— Z kim? jak? zawołał przestraszony.

— Bohdan przejeżdżał dzisiaj przez Poznań… właśnie przylepiano telegramy na rogach wszystkich ulic… Moskwa wypowiedziała Prusom wojnę…

Pan Tabaczkiewicz wpatrzył się we mnie, oczekując potwierdzenia téj wiadomości. Ja przybrałem minę uroczystą i zacząłem mówić:

— Niestety! prawda, co wuj powiada. Moskwa ufna w swą materyalną potęgę zapragnęła zniszczyć Prusy… Kozacy i Baszkiry znajdują się w téj chwili może nie daleko Poznania…. kilka kolumn wojska przeszło wczoraj granicę.

— O Boże! wołał Tabaczkiewicz — ratuj nas!

— Ale nie tu koniec… mówiłem daléj — przedwczoraj wybuchła rewolucya w Paryżu… głowa Napoleona spadła skrwawiona z rusztowania… połowa Paryża w gruzach… krew płynie strumieniami… katastrofa, któréj się wszyscy obawiali, nastąpiła niespodzianie…

Na dowód, że te wiadomości na pewnéj opierają się podstawie (tu wydobyłem z kieszeni numer jakiejś gazety) przeczytam panu, co o tém piszą w Dzienniku Poznańskim.

I rozłożyłem przed sobą gazetę i zacząłem czytać:

Telegramy.

Z nad granicy Królestwa Polskiego. Kolumna składająca się z 50 tysięcy wojska rosyjskiego przekroczyła pod Strzałkowem granicę pruską i zmierza wprost ku Poznaniowi. Wojsko pruskie cofa się — każdéj chwili spodziewać się można starcia.

Berlin. Rozkazem gabinetowym Najjaśniejszy Pan powołuje landszturm pod broń. Jenerałowi Moltkiemu powierzono naczelne dowództwo.

Paryż. Rewolucya wybuchła tutaj. Rewolucyoniści napadli na śpiącego cesarza — powlekli go na rusztowanie; w téj chwili oddzielił kat głowę od reszty ciała.. Ogromne wzburzenie!

Skończyłem czytać — złożyłem poważnie gazetę i schowałem ją.

— O Boże! Boże! — woła Tabaczkiewicz — istny koniec świata! — człowiek życia i mienia, krwawą zapracowanego pracą, niepewny; pochwycił czapkę — i wypadł z pokoju.

Wuj chciał go zatrzymać — ale próżne były jego wołania.

Nie potrzebuję dodawać, że wypadek ten wprawił nas w bardzo wesołe usposobienie.

Ja nazajutrz otrzymawszy par exprès list, wyjechałem… i wkrótce całkiem zapomniałem o tym wypadku.

Po kilku tygodniach odebrałem list od wuja; pomiędzy innemi pisał mi, co następuje:

…Na zakończenie kilka słów o Tabaczkiewiczu. Opowiadanie twoje o wojnie tak go przestraszyło, że przyszedłszy do domu, kazał żonie mieć wszystkie ruchomości na pogotowiu, aby je w razie nadejścia Moskali w bezpieczne przenieść miejsce. Pochwycił potém swój długi kij… i udał się do proboszcza, opowiadając mu, co słyszał od ciebie. Proboszcz, filut jakich mało, nie tylko że nie sprostował téj fałszywéj wiadomości, ale zapewnił go nawet, że tak jest w rzeczy samej. Tabaczkiewicz udzieliwszy téj wiadomości jeszcze kilku swoim kolegom, wrócił do domu… i położył się w łóżko. Rozchorował się w największym stopniu — zawezwał nawet pomocy lekarskiéj. Doktór, dowiedziawszy się poprzednio odemnie o całéj téj historyi, zapewnił go, że horyzont polityczny żadną nie jest zaciemniony chmurką… że wszędzie jak największy panuje spokój. Nie chciał mu początkowo wierzyć… ale nareszcie, gdy mu medyk słowem honoru zaręczył, że tak jest w istocie, uwierzył. Dziś jest już Tabaczkiewicz całkiem zdrów.. ale gniewa się bardzo na ciebie, że go w pole wyprowadziłeś.. Kto go tylko spotka, pyta go, czy są Moskale w Poznaniu?…

Bohdan Brzoza.

Szarada.

Tnę ostro, co się nawinie:
Wszystko pada i ginie
I ludzkie główki
Zmiatam jak makówki.
Lecz gdy sama głowę stracę,
Nikogo nie zbogacę,
Mieniąc się w owad szkodliwy,
Zły popędliwy.
Inaczéj, gdy ogon postradam!
Wtenczas sobie radam,
Bo w téj zaraz dobie,
Mile śpiewam sobie.

(Rozwiązanie zagadki w nr. 6: **Kobylepole** — piękna włość p. hr. Mycielskiego pod Poznaniem, dokąd szkoły tutejsze w Maju zwykły chodzić na przechadzkę.)

Redakcya zwraca niniejszém uwagę swych czytelników na mający się w sobotę, dnia 30 m. b. odbyć na sali Bazarowéj

Koncert p. Tausiga,

który mistrzowską grą przewyższa Rubinsteina.

PUSZKA DO LISTÓW.

Pan Józef Lekszycki w Pozn. nadesłał pierwsze rozwiązanie szarady „Kobylepole" a nagrodę wyznaczoną przekazał Bibl. Akad. Pol. w Gryfii — prócz tego otrzymaliśmy aż 72 dobrych rozwiązań t. j 7 od miejscowych czytelników a 65 od zamiejscowych; między ostatniemi aż 18 telegramów, 1 z Berlina, 1 z Wrocławia, 1 z Drezna, 1 z Gryfii, 1 z Chełmna (od kwintanera p. Danielewskiego). Zbyt wielka ta liczba szanownych Edypów naszego Sfinksa nie dozwala nam wymienić ich nazwisk. — Pan T. w G. wyczytał w téj szaradzie: Podole i Polska, dom. Chyt.: Konstantynopol a p. J. Ch. S. w G. aż trzy wyrazy: Pancerz, koń, Polak. — Panu Osękowi w Poz.: Quid docet haec fabula? Wcale nie rozumiemy. — Panu Krzywosąd pod Gdowem: Szarady składne lecz za łatwe. — Panu T. Robak: Użyjemy z małą zmianą. — Pani Th. w K.: Dziękujemy.

Wielbicielowi „cieniów": A pfe tak publicznie chcieć się oświadczać. Powtórz to pan lepiéj rodzicom — prozą? Panu E. K. we Lwowie: Dla czego panu „luba tak miła?" Cóż to może obchodzić czytelników Sobótki? Dla poezyi Pańskich najwłaściwszém miejscem jest zdaniem naszém własna Jego teka, lub co najwięcéj! imionnik jakiéj panny. — P. Sęp. — po.ury w Gn.: umieścimy między Rozmaitościami. — Panu Z. L. w Plesz.: Nie omieszkamy użyć. — Panu B. K.: Dziękujemy za „zgłoskówki" i życzliwe uwagi o nich. Na ostatnie odpowiemy w osobnym artykule.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.